



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół, kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## SIWE WŁOSY

(Mes cheveux, przez Sully Prudhomme).

Przyjaciele moi! Wszakże znacie mnie z tej strony,  
Że swobody, wesołości jestem apostołem,  
Że tym bóztwom chciałbym zawsze me ofiary nieść:  
Toż dziś, skoro do przemowy jam usposobiony,  
Pozwolicie ją wygłosić za biesiadnym stołem,  
Spalić parę szczypt kadzidla na mych bogów cześć...  
Więc słuchajcie: hasłem życia walka być powinna,  
Ale walka nie ta, której celem złoto marne,  
Której godłem: coraz wyżej na drabiny szczyt,  
Choćby po współbraci czaszkach! Dla nas walka inna:  
Pokąd nas nie otaczają grobów cienie czarne,—  
Żyjmy tak, jakgdyby dla nas lśnił młodości świt!  
Z Molochem sobkowstwa walczmy, z cielcem samolubstwa,  
Walczmy o swobodę życia, nie o bogactw trzosi;  
Śmiejmy się na całe gardło z zaślepienia, z głupstwa,—  
To jest mój programat, chociaż siwe mam już włosy!...

Przyjaciele moi! Życie nie jest jak jezioro  
Ostonione od burz wszelkich opiekuńczym gajem,  
Który się odbija w tafli niezmaconych fal...  
Życie nie jest też kwietnikiem, co wiosenną porą,  
Róż i lilii wonią tchnący, zdaje się być rajem,  
W którym człowiek zapomina, że jest za nim dal...  
Życie jest, niestety, morzem, kędy ryczą burze,  
Miotające wątlm statkiem o skaliste brzegi—  
A w tym statku—jakże trudno trzymać dobrze ster!...  
Życie, jeśli jest ogrodem,—to w nim kolą róże,  
To w nim cierń tamuje ciągle człeka ręce biegi  
Do tych, które go wciąż wabią, podnioslejszych sfer.

Ale w tem jest sztuka życia, by ominąć skały,  
By, pomimo koleów, umieć z róż pić wonne rosy,  
Umieć spleść z ich drobnych liści wieniec szczęścia cały!...  
To jest mem zadaniem, chociaż siwe mam już włosy!...

Przyjaciele moi! Ależ—słusznie mnie spytacie:  
Jaka droga do tak trudnych celów tych prowadzi?  
Jaka, aby w niej nie zbłądzić, ująć w rękę nić?...  
Oto gardzić pałacami, być szczęśliwym w chacie,  
Nie znać cacek, o blask których człek się z człkiem wadzi,  
Z westchnień o fortuny uśmiech umieć szczerze drwić!...  
W takiej zbroi kto zasiędzie za biesiadnym stołem,  
Temu smutek nieproszony nie zasępi lica,  
Ten weselić się, pić, śpiewać będzie z całych sił...  
A gdy rzuci nań dziewczyna oczkiem swem wesołem,  
O, nie znudzi mu się nigdy wabność jej kobieca,  
Choćby nie młodzieńcem, jeno starcem, jak ja, był...  
I nie sprzykrzy mu się życie w takiej nawet doli,  
W której skąpią swych uśmiechów nielaskawe losy,  
Bo przesłiznie po nim zwierzchu to, co innych boli!...  
Taką drogą ja wciąż idę, choć mam siwe włosy!...

Przyjaciele moi! A więc idźcie memi ślady,  
Jeśli chcecie w smutne zwykłe pasmo dni jesiennych  
Świetnych barwą, miłych wonią parę kwiatów wpleść:  
Obcym dla was niechaj będzie duch zawiści bładny,  
Obcą dążność do tych wyżyn złudnych, a tak zmiennych,  
Że nie warto kropli wina wylać na ich cześć!...  
Śmiejcie się z całego serca nad gonitwą ludzi  
Za mamiłdem, które błyszczy pozorami złota,  
Lecz gdy zbliżyć się i dotknąć—próchno jest i pleśń!..  
Nie egoizm—tylko miłość niechaj w sercach budzi,  
Niech otwiera dla współbraci szerszych światów wrota  
Ta wesoła, co z ust waszych zabrzmi czasem, pieśń!...  
Wówczas życie będzie dla was wiecznie-młodą wiosną;  
A gdy kiedyś wzrok wam zaćmi błysk śmiertelnej kosi,  
Nie cyprysem—jeno kwieciami groby wam porosną!  
Przepowiadam to wam śmieje, bo mam siwe włosy!

L. Kozłowski.

## CIEŻKIE CZASY.

(Dokończenie).

### II.

Lekarz powinien stanowić o kierunku fizycznego wychowania dzieci słabowitych, o środkach postępowego ich wzmacniania, ale żaden lekarz nie podniesie głosu przeciw prostocie i możliwie zbliżonemu do natury wychowaniu dzieci zdrowych. Niech każde pańskie dziecko, tak, jak w chacie dziecko wieśniacze, wstaje rano i odycha orzeźwiająca świeżością poranku; niech do ojczyznościan klimatów chłódów i upałów przywyka; niech nosi suknie proste, które jego ruchowi, obiegu jego krwi nie krępują; oile można, samo sobie służy i w pewnej już pracy fizycznej siły rozwija, spożywa pokarmy proste i wybrednych gustów w sobie nie wyrabia i nie denerwuje się przedwcześnie sztucznością konwencyonalnego istnienia— a obdarzą je rodzice organizmem szczęśliwym, który pozwoli mu potem wszelki ciężar życia dźwignąć i nie ugiąć się pod nim.

W niedalekiej jeszcze przeszłości dzieci najbogatszych rodziców nie znały zgoła kawy i herbaty; mleko i chleb spożywano na śniadanie i wieczór, jeżeli nie były to prostsze jeszcze, umyślnie dla nich gotowane potrawy: kasza lub zacierki z mlekiem, żurek i kartofle ze skwarkami, które zdrowym, nierozpieszczonym, przysmakami nie zepsutym naturom smakowały wybornie i posilały w miarę, nie przyuczały do wytworności, która od jednej rzeczy rozciąga się do drugiej i zwolna życie całe ogarnia, cały jego układ podbija. Koszta wychowania dzieci nie były też wtedy, tak, jak dziś, znaczne, nie przerażano się zatem tak, jak obecnie, ich przyzwyczajaniu rodzinie, i język stary mógł na oznaczenie ich zbiorowe wyrobić sobie nazwę: „konsolacja”. I dziś pokolenie nadrastające mogłoby być „konsolacją” ludzi zmęczonych trudami, troską ciężkiego istnienia, gdyby warunki wychowania, do przewidywanej przyszłości uwarunkowane, pozwalały na swobodny oddech pierśi rodzicielskiej, na spokojne powtórzenie z poetą: „Cośmy zrobić nie zdołali, innym przekażemy!”

Ale wychowanie fizyczne choćby najmocniej hartujące, choćby czyniące z ludzi Wyrwidębów i Waligóry, jeszcze do celu nie doprowadzi, jeżeli nie podeprze go moralna siła charakteru, rozumnie wyrobiony pogląd na życie. Pragnienia pańskości się zbyć, gdy środków na pańskości nie staje i chwilę swego czasu zrozumieć, wiedzieć jaka przepaść otwiera się wskroś drogi tych, którzy nie umieją ustosunkować wymagań do środków posiadanych—to podstawa życia po wszystkie czasy ludzkości, a cóż dopiero dziś, gdy przynajmniej nas klęski nieznane przeszłości! Wychowanie musi przedewszystkiem wszczepić dziecku to pojęcie, że żadna uczciwa praca nie poniża, że godność nie zawiera się w posiadaniu większego, lub mniejszego mienia, że człowiek sam o dostojności swojej stanowi i może ją utrzymać na każdym stopniu drabiny społecznej.

Skoro dziecko nie wyniesie przekonania takich z rodzicielskiego domu, skoro blask świetności zewnętrznej uważać będzie za życia aureolę najjaśniejszą—kwiat jego i koronę, już potem nie łatwo przyjdzie dorosłemu człowiekowi otrząsnąć się z tego na rzeczy ludzkie poglądu, zakorzenionego odmłodu, i nie tylko wszystkie rady i przestrogi mądrości ludzkiej będą dla niego w biegu życia stracone, ale nawet najsilniejszy nacisk losu nie wyleczy go ze zgubnej skłonności do parady, wystawności, do zachowywania choćby już tylko pozorów dostatku, bo w pojęciach jego łączy się to z przywilejem do wyższego w społeczeństwie stanowiska—z wyższą osobą jego dostojnością. Dla tego tacy ludzie dojeżdżą ostatniej okruszyny posiadanego mienia, z ostatniej—wytartej sukni dawnej garderoby będą so-

bie czynić wśród wysiłków najboleśniejszych łachmanem pozorem świecący, a nie przyznają się doostatka, że dawny tryb życia jest dla nich życiem nad stan! Nie mogą się zdobyć na uczciwe i rozumne, z godnością dokonane losu swego przyjęcie, aż ostateczna już nędza za gardło uchwyci i na goły bruk życia wyrzuci: a przecie trochę, trochę wcześniej zejść z wyniosłości próżnej swej ambicji, a utrzymać się na miejscu, przebudowawszy tylko pańskie istnienie na życie mierności pracowitej, spokojne i wedle nowej skali szczęśliwe—niezatrute gorzkim uczuciem żalu i wyrzutu sumienia, że rodzinne nasze świętości, Lary i Penaty nasze na rumowisko wyrzuconemi zostały!

Można je z najwspanialszego pałacu przesiedlić do domku choćby pod słomianą strzechę, bo nie rodzinnych tradycji może tu również w ciągłości swej nieprzerwaną pozostać: i to też jest tak społeczną, jak rodzinną winą, grzechem bankrutów—lekkomyślnych, nieopatrnych ludzi, że płocze ich postępowanie targa to i rozrywa. Pozwolili, aby jedno domowe ognisko zagasło wraz z iskrą świętą drogich ludziom promieni ideału, którą oni przecie od ojców swoich otrzymali, i na ich miejscu nie osiedzie już ich syn. Kto? nie wiedzą!..

Aby się tak nie działo, trzeba abyśmy godności naszej nie pojmowali przez wystawność i szyk pański, abyśmy nie uważali tak pędzonego życia, z cugowemi końmi, ze służbą kucharzy, lokaj, pańien służących, z regularnem wizytowaniem sąsiadów, za nasz przywilej przyrodzony i nie przypuszczali, że nasze znaczenie, nasz szacunek u ludzi na tej podstawie się opiera. Tego przecie może dokonać tylko wychowanie. Ukazujmy dzieciom najwcześniej, jak można, wysokie i święte cele ludzkości, ukazujmy im prawdziwą wielkość i godność człowieka w wytrwałem do nich dążeniu—niech poznają co to jest cnota obywatelska i cześć jej oddawana, pogoda na czystem, poważnem czole człowieka, który obowiązki swoje pracowicie i uczciwie wykonywa, a myśl ich się podniesie, serca ich drgną i wyższe, szlachetniejsze życia pojęcie żądnego wady powstałe z małości, miękkości, z zaściankowego drobnowidztwa, przy którym własna nasza postać wyolbrzymia się i czemciś wysokiem się staje.

Otwórzmy młodzi, która rośnie, ujście wzroku na szersze ludzkich spraw horyzonty, podnieśmy skalę jej uczuć i myśli, a jeżeli zaprawimy ją obok tego nie tylko słowem ale i przykładem do obyczajów skromnych i prostych, damy jej proste i skromne nawyki wraz z cnotą pracowitości, wyposażymy w zdolność do pracy przez dobrze rozwinięte siły, przez dostatecznie zahartowany i na trud wytrzymały organizm: a lżej nam będzie spojrzeć w ich i ogółu przyszłość, lżej będzie schodzącemu pokoleniu umierać bez okrutnego na ustach wykrzyku: —Po nas—potop!..

A zali to nie myśl o ciężkich człowieka z losem zapasach, stworzyła w wyobraźni ludów Starożytności wzór do postaci karyatydy? Schyłone naprzód tułowy, a podniesione pod ciężar muskularne ramiona—tak oto podpierają się gmachy! Kolumna, choć ma przeznaczenie podobne, wybiega w górę śmiało i lekko, a lekkość ta jest jej wdziękiem, który zatem w gammie wyobrażeń o pięknie pojmowano i oddać umiano, przecie ramiona owych siłaczy okazują naprężenie i trudu ogromność—dźwiganie rzeczy bardzo ciężkich, i być to musiał pierwotnie myt pracy człowieka w zapasach z przeznaczenia jego przejściami trudnemi. Kolumna to ideał—strzela z ziemi ku niebu, wyżyn pragnieniem, wyżyn miłością porwana: karyatyda to realnych bojowań życia obraz—walka człowieka z siłami wrogami, które drogi jego zachodzą. Ramiona swe pod ciężary on podłożył, barki pod nimi zgiął i dźwiga, ale dlatego właśnie zgniecionym nie zostaje, że je unosi!

Tak pod gniojącą siłą ciężkich czasów mocnymi ramionami podstawić się nam trzeba. Opuściły się one na nas, czasy te okrutne! może konsekwencya nieopatrnej, płoczej przeszłości, nachodząca nas jakoby nagle, a przecie szła ona

z wolna koleją dziejową, stąpała ciężko i kroki jej słyszeli ci, których słuch był ku tej stronie zwrócony. Dziś już stoi przed nami twarzą w twarz i wydaje się nam przerażonym, jak coś urocznego, ale „fatum nasze jest w nas!” i choćby już tylko ta najniższa w istocie ludzkiej władza, instynkt zachowawczy, nakazuje obrony usiłowanie. Łatwą ona być nie może już dlatego, że okoliczności zewnętrzne trzeba nam przez zmienne warunki naszego wewnętrznego stanu ducha zwyciężać, więc bronić się i im, i samemu sobie—słabościom, nawykniom, wiekowych wpływów skutkom. Z bogatego społeczeństwa arystokratycznego przerabiamy się na ubogie społeczeństwo demokratyczne, musimy więc pozbyć się mnóstwa wad dawnych i skłonności szkodliwych, a jedynak cnot starych, tradycyi nie zatracać a przeciwnie, jak świętości, jak relikwie najdroższe, jak znamiona rodowe ze sobą je unosić po nad piętrzące się fale kataklizmu, który nas zalewa. Przykład wielki, przykład nauczający mamy tuż obok nas w pobratymczym narodzie—w Czechach. Jak tam pracują mrówco, a wytrwale, jak umieją oszczędzać i zbierać, ziarno do ziarnka składać, a razem z tego ogromne zasoby gromadzić i losowi mówić:—Ne damy sel... ciężkie czasy na barki brać, jak karyatydy greckie—jak karyatydy greckie je nieść i unieść! Germanizm na nich parł od XIV wieku, lecz prawdziwie ciężkie czasy zaczynają się od epoki Białej Góry: zdaje się, że to karta zamazana, że przeznaczenie przeszłości tędy i zdruzgotało wszystko! Klasy wyższe, jakoby znikają, niema ich, ale nie—to pozór! Zestąpiły w lud i tam przeniosły swe ogniska, swe bogi domowe i następuje proces przetwarzania się z dawnego organizmu w nowy. Ci uczą się, jak to pracować ciężko, żyć twarzą, tamci przez zętknięcie bliższe, bezpośrednio, dostają jaśniejsze promyki wiedzy i samopoczucie istoty swojej—ciepło promienieje, cnoty, wyrosłe z wyższego wyrobienia się ducha, rozchodzą się przeszczipiane z piersi w pierś i wytwarzają obraz, jak gdyby tej darniny, która jest doskonałym gruntem utwierdzeniem, a składa się z roślinek drobniuchnych—z trawy, która gęsto rośnie, jedna obok drugiej. Naturalnym rzeczy порядkiem poczęła wychodzić z tej ciżby zbitej inteligencya swojska, podnosić się poczęły swojskie głosy i hasła, rodzimy całokształt Czechii, w zmienionej formie społecznej, ale bynajmniej nie w duchu, przeoczonym już być nie może, bo stoi wyraźny. Przedzwigano ciężkie czasy!!!

Przedzwigano je przez niepuszczenie się gruntu. Objęto go siecią korzonków wątych, gdy są pojedyncze—korzonków pospolitej, niskiej biednej trawy, ssano przecie pierś macierzystą, zasilać się jej pokarmem rodzimym, wyrodzić się niedającym. Szanują Czechy za ich cnoty, za ich wytrwałość, pracowitość, hart woli i miłość swej ziemi, ale serce moje czuje dla nich coś więcej—ma wdzięczność niewypowiedzianą za przykład, który stawiają przed oczy narodów, za otuchę, którą dają sercom smutnym, umysłom przeleżłym.

M. Ilnicka.

## GASNAĆA DUSZA

POWIEŚĆ

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg)

Powierzchność zaniebana w najwyższym stopniu nie mogła jednak zatrzeć zupełnie śladów lepszej widocznie przeszłości człowieka, co rozpadał się w ruinę z całą świadomością tego npadku.

Szaleł znał się z Filipem od dzieciństwa, na jednym podwórzu grywał z nim w piłkę i gołę-

bie hodował; potem życie ich rozdzieliło, każdy poszedł swoją koleją, a gdy się po latach znowu spotkali, pierwszy był już rozbitkiem, drugi wpływał na szerokie fale życia.

Pewnego razu do pracowni artysty wtoczył się człowiek z obrzękłą twarzą, w czapce naciśniętej na czoło, z rękoma w kieszeniach, pijany, cuchnący wódką i ochryplym głosem spytał od progu:

— Tu mieszka Filip Morelli, mój przyjaciel głupiej młodości, towarzysz cielących bzików, urwisowstwa i psich figlów, a dzisiaj podobno maestro i porządny człowiek?... niech się odezwie, albo mnie za drzwi wypchnie *Corpo di Baccho!*... A, jak się masz Filipie?... poznałem cię po tych kudłach i kaczym nosie. Szaleję jestem.

I chwytając się za nogi, stanął przed Filipem, modelującym postać anioła o spuszczonej skrzydłach, pochylonego nad martwym dzieckiem i trzymającego palec na ustach, jakby nakazywał milczenie i mówił: „Cicho, ono śpi!”

— Jak Belzebuba kocham — ciągnął dalej pijany gość — tym razem ludzie nie skłamałi, mówiąc o tobie. Tyś artysta? bratku, całą gębą. Co ty tu lepsz, anioła?... poczekajno, niech zobaczą; jam się znał w życiu z aniołami i dlatego dziś dyabli mnie biorą.

Czapkę odrzucił na tył głowy, ramionami jeszcze wyżej podniósł, brwi ściągnął i jakby oprzytomniały nagle wzrok bystro wlepił w modelowaną grupę z wyrazem szczególnego zajęcia.

— Hm, hm! — zaczął po długiej chwili — masz talent, chłopcze, masz duszę twórczą, masz przyszłość przed sobą, ale co z tego!... i ja miałem to wszystko. Wiesz ty, żeś wydłubał małe arcydzieło w tej glinie?... Ja się trochę znam na tem, chociaż na świat patrzę dziś przez pryzmat kieliszka, bo ja jestem pijak, Filipie, prosty pijak, to mój stan cywilny dzisiaj i zajęcie. Na tem jednym się ludzie nie pomylili przyznając mi, że jestem pijak. Ja i dziś jestem pijany, i wczoraj byłem i jutro znowu będę, tylko się prześpię u ciebie. Nie masz tu na czem usiąść?... a pyszna kanapa, sułtan nie wart lepszej!

To mówiąc, potoczył się do drewnianego stołka, na którym resztki gipsu pozostały, strzepnął go połą od surduta i usiadł ciężko, opierając z trudnością nogi na drugim krzeselku pod ścianą.

— Wyborne siedzenie — prawil dalej — jestem jak most rzucony nad przepaścią, po którym głupie myśli będą galopowały, dopóki nie usną. Ty mi tu przecież przespać się pozwolisz?... zapłacę ci za to, mój gospodarzu, odą, którą będziesz mógł potem fajkę zapalić tak samo, jak ja to robię z moimi wszystkimi *canzonami*. Gdy się wytrzeźwię, to pogadamy z sobą, mój *maestro*, teraz mi nie przeszkadzaj marzyć i chrapać.

Ziewnął szeroko, wstrząsnął się i z jakimś sardonicznym uśmiechem mruknął do siebie:

— No, no, patrzcie!... i ten Filip został artystą; *é un artista!*... dorzucił głośnie, językiem mląsnął, oczy zmrużył i pomrukując zaczął w drzemkę zapadać.

Filip przerwał robotę i zajęciem przypatrywał się pijanemu oryginałowi, siląc się rozpoznać w nim rysy towarzysza lat dziecinnych.

— To tak się ludzie marują! — myślał i dreszcz przebiegł go po całym ciele; przypomniał sobie wspólną przeszłość z tym samym pijakiem, który cynicznie szydził dzisiaj sam z siebie.

Był czas, kiedy ten Szaleję genialnymi błyskami zapowiadał olbrzymia, a skarłał tak okropnie; wtedy ożywał go inny duch, inny zapach; kochał piękno, sztukę, poezję, należał do najwyższych kolegów Filipa, marzył o laurach, o sławie, pisał wiersze pełne natchnienia, kreślił plany poematów z bujną fantazją. Słowackiego; całego Heinego i Mus et'a umiął na pamięć, porywał swoją wymową wulkaniczną, a po jakichś dziesięciu latach wszystko to stliło się w nim, rozpadło w gruzy, śladu nie zostawiło. Ponad wszystkim zatrzymował nałóg obrzydliwy i z człowieka zapowiadającego znakomitość, stała się pospolita, zmarnowana egzystencja. rodzaj chwastu ludzkiego, podlewanego wódką, która tę lichą vegetacją utrzymywała jedynie.

— To tak się ludzie marnują! — powtarzał

w myślach swych Filip i z przykrem uczuciem wstępu, ale i litości zarazem, spoglądał na Szaleję.

Od owych pierwszych odwiedzin w pracowni artysty, zmarnowany poeta był częstym gościem Filipa; przychodził i godzinami całemi wylegiwał się na dwóch drewnianych stołkach pod ścianą, przypatrując się Filipowi zajętemu przy pracy.

Rozmowy z nim miały swój odrębny urok dla rzeźbiarza; oryginalny umysł i inteligencja, nie miały jeszcze czasu zatopić się zupełnie w alkoholu.

Szaleję pijany, zachowywał jakąś fenomenalną trzeźwość myśli i pamięci, chwilami wznosił się do wyżyn prawdziwego natchnienia i umiał mówić ze swadą retora; niekiedy deklamował całe ustępy z poetów naszych i obcych lub improwizował świetne oktawy, zapalał się i zmieniał w innego człowieka, — ale ta zmiana trwała krótko.

Jak zepsuty instrument, rozstrajał się co chwila i fałszywym jakimś tonem, przykrym jakimś zgrzytem przerywał rozpoczętą harmonią.

Zdawało się niekiedy, że umyślnie silił się na takie dysonanse, jakby urągał echem światlejszej przeszłości i pragnął wypaczyć do reszty swą właściwą naturę.

Filip próbował z początku ratować przyjaciela od ostatniej zagłady fizycznej i moralnej, chciał go jak topielca wbrew jego własnej woli wyciągnąć z tego wiru, który porywał i coraz głębiej zanurzał rozbitka; ale Szaleję mu otwarcie raz powiedział:

— Nie strzęp ty sobie nadarmo języka, mój kochany. Był ktoś, co mi lepiej od ciebie wymyślał i kazania prawil, który znał mnie do szpiku kości i nawracać chciał, jak misjonarz, a jednak w końcu dał za wygraną. Tym pocziwym człowiekiem, byłem ja sam, ale po każdej rekollekcyi zapraszałem się w końcu na kieliszek, bo musiałem czemś przeciw uczestować mojego moralistę — no, i wychodziliśmy obaj pijani i pogodzeni ze sobą. Daj pokój, ja wiem dokąd leżę i gdzie wpadnę. Jeśli chcesz, mogę ci oszczędzić widoku mojej pięknej twarzy i pozbawić cię genialnej rozmowy z Diogenesem XIX-go wieku, który w beczie wódki zamknął swoją istność. To wszystko szkaradne, co ja mówię... prawda? — jeśli nie chcesz, nie słuchaj.

Niekiedy przychodziła Filipowi ochota wyprosić naprawdę za drzwi Szaleję, gdy go zniecierpliwily daremne usiłowania rehabilitacyi przyjaciela, ale żal mu było pozostawiać na bruku człowieka, z którym łączyły go wspomnienia innej przeszłości, w którym kołatał się wyższy, ale okaleczony duch jakiś.

Zresztą Szaleję nie zawsze bywał pijanym, a po trzeźwemu należał do najprzyjemniejszych towarzyszy, od którego wiele jeszcze skorzystać można było.

On zresztą i Pietrek, młode, ciche, potulne chłopię, uczeń Filipa, przyjęty z łaski do pracowni, — stanowili tu jedyne żywe otoczenie artysty, który nie lubił do sanctuarium swej pracy i natchnienia wpuszczać obcych ludzi; nawet pani Helena należała do bardzo rzadkich gości w *atelier* swego męża.

— Jak tu brudno u ciebie — rzekła raz, rozglądając się po obdartych ścianach i szukając dla swoich nowych bucików miejsca na posadzce, nie splamionego gipsem, gliną lub pyłem kamiennym. Mój drogi, jeśli mnie kiedy zaprosisz tutaj, aby mi pokazać coś nowego, to każ przynajmniej pozamiatać pracownię. Nawet stanąć gdzie niema; całą suknię sobie powalałam!...

O pracach męża nie było mowy; piękna pani z roztargnieniem patrzała na pomysły wcielane przez niego, jakby się siliła zobaczyć to, czego nie widziała oczyma duszy. Wzrok jej z większą uwagą zatrzymywał się na białym złomie marmuru, z którego promień słońca wykrzesywał srebrne iskierki, albo na kupie gliny przykrytej wilgotną płachtą.

— Jakie to białe — mówiła, dotykając zlekka paluszkami kamiennej bryły — zupełnie do cukru podobne.

A krzywiąc się z niesmakiem, wzruszała słicznymi ramionami i z politowaniem patrzała na

męża, rzeźbiącego drewnianem dłutkiem ogromny biust leśnego satyra, który sobie gryzał pazury z przedziwnie złośliwym uśmiechem.

— Jak ty się nie brzydzisz dotykać tego błota! — wołała pani Filipowa do męża — ach, jeszcze czego!... nie bierz mi w pół, bo mi powalasz całą stanik. Nie dam ci się pocałować, dopóki się nie umyjesz. Bądź zdrow, uciekam do domu, panie majstrze!

I umykała z pracowni, śmiejąc się, bez pożegnania.

Szaleję raz ją tylko widział w kurrytarzu i przez otwarte drzwi wysłuchał rozmowy jej z mężem; ale nie dał się przedstawić i z jakimś złośliwym skrzywieniem ust patrzył za nią, gdy małemi nóżkami wybierała gładze kamienie na ścieżce prowadzącej ku furtce.

Trzeźwym był dnia tego i małowómnym, spoglądał z pod oka na Filipa i swoim zwyczajem chodząc po pracowni z rękoma w kieszeniach, zdawał się rozmyślać nad czemś, co mu widocznie do smaku nie przypadło.

Raz tylko zatrzymał się przed Pietrkiem rozcierającym glinę pod oknem i swoim rubasznym tonem zapytał go:

— Czemuż ty, kundlu, czapki nie zdjąłeś?... nie wiesz, że przed figurą trzeba zawsze głowę odsłonić.

— A gdzie tu jest figura? — zapytał chłopak, podnosząc swe duże, bystre oczy na mówiącego.

— Była — odparł krótko Szaleję i nacisnąwszy czapkę na czoło, wyszedł z pracowni, jak zwykle, bez pożegnania.

## II.

Od tygodnia nie mówiono o niczem innym w kołach artystyczno-literackich, tylko o „Aniele śmierci“ i o „Satyrze“ Morellego, pomieszczonym wreszcie na wystawie Sztuk Pięknych.

Krytyka te dwie większe prace Filipa przyjęła bardzo przychylnie; rozpisywano się o nich w długich felietonach, a chociaż w tych recenzjach więcej było stylistyki, niż znawstwa, chociaż ten i ów sadził się tylko na formę, czując, że trzeba wobec niepospolitych dzieł prawdziwego talentu wznieść się na jakiś wyższy poziom krytyczny. Ogólnie dość trafny wydano sąd o zaletach obu utworów nowych i oryginalnych nie tylko przez wykonanie, ale, co ważniejsza, przez samą pomysłowość artysty.

Talent Morellego natrafił na szczęśliwą dla siebie chwilę; sztuka, jak mały Herkules, rozwijała się z pieluch, budziła coraz żywsze zajęcie, rozmiłowywano się w niej; malarstwo wprawdzie wyprzedzało rzeźbę na drodze rozwoju i doskonalenia się, ale tem więcej warunków do odznaczenia się miał taki artysta, jak Filip, który nie potrzebował obawiać się rywalizacyi.

Szaleję mówił mu nieraz:

— Wiesz ty, Signore Filippo, że w tobie siedzi mistrz nielada; potrzebemu i popijanemu to widzę. Tamci twoi koledzy to kamieniarze; flizy im szlifować przy tobie. Głowa do góry i naprzód!... tylko co ci z tego, choćbyś był naprawdę drugim Buonarottim?... prędzej, czy później, zakrakają cię. Im większym będziesz, tem ci prędzej podpiłują nogi. Wieczna to walka między Guliwerem a Liliputami, tylko, że u nas większa korzyść należeć do Liliputów, można Guliwerem skakać po nosie i za skórę im załazić. Ładną sobie ojczyznę wybrałeś!... Co ty tu tem dłutem swoim wydłubiesz? Chlebą niem nie wykrzeszesz, kamienie będziesz musiał gryźć.

— Pessimistą jesteś niepoprawnym — odpowiadał ze śmiechem Filip — uznania mi dotychczas nie odmówiono, a chleb się znajdzie, niech tylko coś naprawdę wielkiego stworzę.

— Dość na próbę tego, coś zrobił dotąd — przyrwał poeta — i na tem nie bardzo się poznają. Dla kogo tu tworzyć arcydzieła?... dla krytyki, co bez encyklopedyi i podręczników z estetyki nie potrafi zdania swego powiedzieć?... dla publiczności, która zna się na sztuce, jak kura na pieprzu i woli figurki gipsowe, albo piankowe cy-

garniczki od kamiennych posągów i grup bronzowych? Kto ci to kupi, co wykujesz w marmurze?... raz na dziesięć lat dadzą ci zrobić figurę na studnię, albo obstalują raz na rok medalion lub biust, a i wtedy bez targu się nie obejdziesz. Najlepszy interes zrobisz na nagrobkach, jeśli zechcesz rywalizować z kamieniarzami. Zawsześniej, kwiatku, zakwitłeś, zawsześniej!...

Filipa wszelako nie zrażały te słowa i przepowiednie Szaleja, który na cały świat patrzył przez czarne, okopcone szkła; dla przyjaciela robił tylko ten wyjątek, że spoglądał na niego ponad swe ciemne okulary i oddawał mu sprawiedliwość.

W ostatnich kilku tygodniach Morreli odrobił zaniedbanych kilka miesięcy; wykończył „Anioła śmierci“ i czuł się zadowolonym z tej kompozycji.

Wogóle ze zdwojonymi siłami i zapalem brał się do pracy.

W domu przybyła mu teraz największa radość; przy łóżku ukochanej żony stanęła kołyseczka a w niej dzieciątko, jak aniołek mały.

Miał tedy syna, tegoż, zdrowego chłopca, o którym powiadano ogólnie, że z oczu i włosów do ojca, z rysów twarzy do matki był podobny.

Kiedy usłyszał pierwszy krzyk swego dziecka, Filip ryknął płaczem, nie mogąc powstrzymać wybuchu ojcowskiej radości — i maleństwo ochrzczone zostało zaraz po urodzeniu łzami szczęśliwego rodzica, który z jakąś niemiłą tkliwością witał tego gościa w swym domu.

Mama Okulska miała także niby łzy w oczach, ale chyba niezupełnie z radości nad wnuczkiem; kilka razy stając nad kołyską, pół żartem a pół poważnie, mówiła do siebie tonem komicznie rozpaczliwym:

— Mój Boże, i przez taką odrobinę, zostałam już babką!...

Ten tytuł nie bardzo się jej podobał; chciała uchodzić jeszcze za młodą.

Jak wszystkie kobiety, miała wrodzoną skłonność do dziecka; potrosze zajmowała się niem tak samo, jak małe dziewczynki zajmują się swoją lalką, przystajają je codziennie w nowy czepek swojej roboty, powijała w piękne poduszki; ale ilekroć przypominała sobie, że jest babką, coś ją mimowolnym żalem przejmowało, czuła jakby ukrytą głęboko urazę do tego maleństwa, które instynktownie darło się, jak oparzone, gdy je czuła babunia na ręce brała i, przed dużym lustrem przechodząc tam i napowrót, usypiała monotonnymi dźwiękami.

Nie mogła się jednak powstrzymać, aby za każdym razem nie zerknąć w zwierciadło i nie zobaczyć: jak też jeszcze wydaje się w roli piastunki, i czy nie jest podobniejszą do matki, niż do babki z dzieckiem na ręku?

Filip był zachwycony swoim synem, jakkolwiek obchodzić się z nim nie umiał; bał się go dotknąć lub przytulić do piersi, wezbranej uczuciem dumy i miłości ojcowskiej. Potrafił jednak godzinami stać nad kołyską swego Stefanka i wpatrywać się w tę małą, różową, pulchną twarzyczkę śpiącego dziecka, którą sen jakimś wyrazem dziwnej powagi pokrywał.

Wtedy roily mu się po głowie tłumy świetlnych, tęczyowych myśli; szczęśliwym się czuł, uśmiechał się rozkosznie i nie mówiąc ni słowa, szedł od czasu do czasu całować rękę swej żony, jakby jej w milczeniu dziękował za to ojcowskie szczęście, którem go obdarzyła.

W pracowni puszczał wodze wezbranemu sercu; wesółym był aż do pustoty, śpiewał i pogwizdywał przy robocie, dużo rażno zwiąjało się w jego rękę, a jakby mu z radością talentu i wprawy przybyło, praca postępowała nadzwyczaj szybko.

Pewnego razu, stojąc w niebieskiej bluzie i w czarnym filcowym kapeluszu, naciśniętym na tył głowy przed grupą „Anioła śmierci“, której ostatnich już tylko brakło wygładzeń, zadrżał nagle pod wpływem jakiejś przykryej myśli, co mu najniespodzianie przemknęła przez głowę; myśl ta, jak zimna jaszczurka, wcisnęła mu się do mózgu.

Odstąpił kilka kroków od swego dzieła i po-

czął mu się pilniej przypatrywać, jakgdyby po raz pierwszy miał je przed oczyma.

Uderzyło go dziwne podobieństwo w twarzy martwego dziecka, nad którym anioł śmierci pochylał się, nakazując milczenie — z rysami jego Stefanka.

Im bardziej badał tę twarz, tem więcej dostrzegał w niej podobieństwa z synem i zimny dreszcz przeszedł go znowu.

Nie mylił się: ten kamienny trup ludzko był podobnym do żywego pierwowzoru; przypadek bolesną igraszkę zrobił sobie z ojcowskim sercem.

Zbudziły się w nim pod tem przykrem wrażeniem po raz pierwszy straszne reflexy; jego własne dzieło zadrasnęło mu duszę.

Zaczął się zastanawiać nad tem przypadkowym zestawieniem rzeczywistości i sztuki.

Dlaczego teraz właśnie, kiedy go życie taką radością przejęło, jako człowieka, twórczość artysty wybrała do dzieła motywy śmierci?... dlaczego to jego kamienne dziecko przypominało właśnie owo żywe jego ukochanie?... Miałżeby i on, ojciec, klęczeć kiedyś taksamo, jak ten anioł nad trupem Stefanka?...

Stefanek jego mógłby umrzeć tak samo.

Nie, takiej krzywdy najmściwszy bóg nie śmiałby mu uczynić!

Biedny Filip zachwiał się na nogach na samo przypuszczenie tego ciosu. W pierwszej chwili instynktowym ruchem posunął się ku grupie z podniesionym młotem w ręce, jakby ją chciał roztrzaskać za karę, że mu taką myśl straszną podsunęła.

Znienawidził prawie własne swe dzieło.

Nie wiedział sam, co go powstrzymywało od zniszczenia złowrogiej pracy; artysta oparł się popędowi ojca.

Zbliżył się szybko do grupy „Anioła“ i z gorączkowym pośpiechem zaczął przekształcać rysy martwego dziecka; wszystkie zmiany nie wydawały mu się dostatecznymi, dużo zacierało śladły podobieństwa ze Stefankiem, których oko ojca śledziło z jakimś rozpaczliwym niemal niepokojem.

Kiedy wreszcie odrzucił młot i dłuto, kroplisty pot wystąpił mu na czoło, twarz pobladła, wargi mu drgały, w skroniach tętna były, jak u człowieka zmęczonego ciężką i długą walką.

Pędem prawie wybiegł z pracowni do domu.

Gnało go coś od tej kamiennej zmory, co tyle niepokoju w duszy mu zbudziła.

Dopiero gdy stanął na progu sypialni swojej żony i dziecka, odetchnął po raz pierwszy swobodnie.

Stefanek przy piersi mamki uśmiechał się usteczkami Cherubinka i wytrzeszczał swe duże, błyszczące oczki, jakby niemi chciał rozproszyć wszystkie cienie i chmury nad sercem ojcowskim zawisłe.

Na drugi dzień „Anioła śmierci“ wyniesiono z pracowni Filipa; sam artysta chciał się go jak najprędzej pozbyć i usunąć z przed oczu.

Wrażliwy jego umysł poddawał się bardzo łatwo chwilowym reflexyom, złym zarówno, jak dobrym.

Pierwsza kropla goryczy domieszała się jednako od owej pory do kielicha ojcowskich rozkoszy jego; spoglądając teraz na uśmiechniętego Stefanka, przypominał sobie to smutne, martwe dziecko pod skrzydłami anioła śmierci uspięne snem nieprzespanym. Drażniła go i gniewała tamimowolna assocjacja dwóch myśli, ale pozbyć się jej nie mógł. Nikomu jednak nie zwierzał się z tem, jak wogóle z niezem nie lubił dzielić się z innymi, co go samego dotyczyło. Z wrażliwością mimozą łączył i drugą właściwość jej natury: zamykał się sam w sobie i nie pozwalał nikomu wtajemniczać się we wnętrze swej duszy.

Odkąd raz zauważył, że pewne temata w rozmowie z żoną mało ją zajmują, przestał je zupełnie poruszać. Nie rozwijał już przed nią swoich pomysłów, nie zasięgał jej zdania, nie pytał z pierwotną otwartością, co myśli o tem lub o owem; zraniła go obojętność i pewien odcień znudzenia źle pokrywany, jaki dostrzegł na jej pięknej twarzy.

Helena nie lubiła mówić z mężem o sztuce, nie znała się na niej, brakło jej zupełnie zmysłu krytycznego.

Małe porcelanowe figurki podobały się jej lepiej od najpiękniejszych posągów, jakie jej mąż pokazywał w galeryach podczas podróży poślubnej, a błazen chiński z wystawionym językiem bawił ją i rozśmieszał najlepiej.

Jej zmysł estetyczny, jeżeli go posiadała, zadawała się drobiazgami, szczególnie brały górę nad całością. W Wenerze Medycyjskiej oburzały ją brzydkie ręce, które porównywała ze swymi, a w św. Cecylii Rafaela zachwyciła ją najbardziej materya na staniku; postanowiła koniecznie sprawić sobie takiesamo okrycie.

Z początku instynktownie czuła, że powinna oile możliwości ukrywać się przed mężem z takimi poglądami, chciała nawet przez jakiś czas niewolniczo nagiąć się do jego zdania, ale szło jej to niezręcznie, ciężko: fałszywa nuta brzmiała w tym sztucznym entuzjazmie, który był tylko echem zachwytyw męzowskich nad arcydziełami średniowiecznych mistrzów.

Dała pokój udawaniu, pozostała sobą i pewnego razu wprost otwarcie wyznała Filipowi, że ją nudzą te wszystkie „bałwany“ z marmuru i te obrazy, na których sami święci, jak w kościele, są przedstawieni. W główce jej się mieszało od tyłu „bohomaszów.“

Filip, słuchając tego wyznania, z całą naiwną szczerością wypowiedzianego, uczuł jakiś chłód w sercu, jakby przez nie kropla marznęcej wody przeciekła.

Spodziewał się całkiem czego innego po swojej żonie, towarzysze swego życia, powiernicze swojej duszy, poznał zapóźno, że Helena nie była wcale stworzoną na żonę artysty, ale mu ciężko było pogodzić się z tą myślą.

— Z czasem — mówił — rozbudzi się w niej zamiłowanie piękna, wykształcę ją, urobię, nauczę patrzeć na sztukę innemi oczyma.

Postanowił być cierpliwym, wmawiał w siebie, że się myli, że za surowo żonę osądza. Zamało się poznali przed ślubem, nie mieli czasu wybać się wzajemnie, oczyma; nie sercami, roznieciła się miłość pomiędzy nimi.

Bywały chwile, w których Filip odchodził od żony milczący, -posmutniały, chmurny, zrażony jakimś drobnym; niepozornem słówkiem lub ryssem przez niego tylko dostrzeżonym.

W innej kobiecie byłoby mu to może zupełnie obojętnem, w żonie własnej raniło go podwójnie.

Helena, zajęta najczęściej tylko sobą, musiała jednak zauważyć te nagłe zmiany w mężu; podchodziła do niego kilkakrotnie i, spoglądając mu badawczo w oczy, pytała:

(Dalszy ciąg nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

Uspiony w letnich miesiącach ruch artystyczny do tej chwili nie dawał znaków przebudzenia; nie możemy bowiem nazwać ruchem artystycznym kilku niefortunnych debiutów na scenie tutejszej.

Teraz dopiero powracającym z letnich wycieczek lub wiejskich zaciszy a stęsknionym do dobrej muzyki sympatycznie się uśmiechnął sezon jesienny, rozpoczęty interesującymi występami pp. de Negri i Miranda, oraz koncertem pana Tymoteusza Adamowskiego. W Letnim Teatrze widzieliśmy zgromadzone całe niemal tutejsze kółko melomanów; skromne to jednak kółko nie mogło zapełnić teatralnej sali, oczekującej na próżnoszerszej publiczności, która widocznie prze-wa jeszcze *fuori delle mura*; dopiero w kilka dni później, w Towarzystwie Muzycznym, zebrało się liczniejsze grono słuchaczy.

Pan Adamowski, jako młodziutki a już bardzo obiecujący skrzypek, przed ośmiu czy dziewięciu laty, opuścił swe rodzinne miasto, by na obcej

ziemi szukać gościnności, głębszej nauki i powodzenia. Obecnie, jak przeważnie wszyscy nasi utalentowani rodacy, przybył do nas już skńczonym wirtuozem, wsparty urokiem stanowiska, jakie sobie wyrobił poza Oceanem; przybył za-produkować grę, która pod względem czystości techniki i pojęcia artystycznego, nie pozostawia nic do życzenia. Musimy przyznać, że pan Adamowski nie posiada imponującej potęgi tonu, ani też namiętnej werwy i błyskotliwości; grę jego cechuje raczej szlachetny spokój i pewna poetyczna smętność. Przy chłodnym napozór nastroju pan Adamowski pokonywa niemałe trudności techniczne; tryl mianowicie jest nadzwyczajnie szybki i równy, piano bardzo piękne, a w oddaniu szerokiego śpiewu, żadnej affektacji, żadnego wyskoków nerwowych: jest to kompletne panowanie nad instrumentem i nad uczuciowością, której granice nie przekraczają praw estetyki i dobrego smaku. Załujemy tylko, że na pierwszym występie akkompaniament orkiestralny niezawsze dostrajał się do wymagań koncertanta; niesfora to strasznie gromadka ta nasza orkiestra, zwłaszcza gdy jej słuchać wypada komendy niewprawnego jeszcze dyrygenta, jakim się okazał pan Barcewicz, przyjmując na siebie zbyt trudne zadanie.

Pierwszy programat pana Adamowskiego składał się z koncertu E. Bernard'a, Romansu Swendsen'a i Ronda Capricciosa Saint-Saëns'a; nadto usłyszeliśmy jeszcze melodyę Raffa. W Towarzystwie Muzycznym pan Adamowski powtórzył nam Allegro z koncertu Bernard'a, o którym powiemy nawiasem, że jest kompozycją rozwlekłą bez piętna natchnienia, aczkolwiek sumiennie opracowaną; podnieść jej nie mogła nawet staranna interpretacja artysty. Gorętsze zato oklaski zjednało panu Adamowskiemu wykonanie: „Legendy“ i „Poloneza“ Vieuxtemps'a, „Koły-sanki“ Noskowskiego i „Tańca cygańskiego Nachez'a; nadmienić jednak wypada, że ostatni ten utwór nie zupełnie się nadaje do rodzaju gry pana Adamowskiego.

Do uzupełnienia koncertu przyczyniła się panna Pinkertówna, oraz chóry i orkiestra amatorska Towarzystwa Muzycznego.

Panna Pinkertówna znana już jest naszej publiczności jako zdolna śpiewaczka, obdarzona giętkim i czystym głosem, nader podatnym do koloratury. Wykonanie Aryi z „Semiramidy“ było względnie zadawalniające; mniej korzystne wrażenie pozostawiło nam oddanie pieśni Zarzyckiego „Nie będę cię rwała,“ która wymaga większej deklamacji i uczucia.

O chórach Towarzystwa Muzycznego chcieliśmy powiedzieć parę słów, dotyczących nietylko ostatniego ich występu. Od dość dawna zauważyliśmy, że chóry te nie robią należytych postępów, jak by się można było spodziewać po tyloletniej pracy i starannym a jednostajnym kierunku. Widocznie więc jest inny powód tego zastoju chórów, niezależny może od systemu nau-czania, lecz leżący w ich organizacji; prawdopodobnie ciągła fluktuacja personelu chóralnego, przybywanie coraz-to nowych sił, a gwałtowne ubywanie dawnych, jest powodem, że chór nie może się wyrobić na jednolity i równie wy-trawny *ensemble*. Ciekawi jednak jesteśmy, co wywołuje taką niestabilność ze strony amatorów, którzy przecież, dobrowolnie szukając tej rozrywki i sposobności kształcenia się, nie powinni by bez powodu jej się wyrzekać. Ostatni występ był bardzo niefortunny. Może być, że „Pieśń wiosenna“ pana Biernackiego, była jeszcze nad siły nowoorganizowanego chóru, i za wcześniej została daną na programat, dosć, że w chaotycznym wykonaniu, nie mogliśmy odnaleźć ani wziętego tematu, ani subtelnego polifonicznego opracowania, któremi ten utwór się zaleca. Orkiestra wykonała: Uwerturę „Egmont“ Beethovena i „Antrakt“ z opery „Król Manfred“ Reinecke'go; to ostatnie dzieło wcale poprawnie.

Panów de Negri i Miranda mieliśmy sposobność usłyszeć w „Fauscie.“ W panu de Negri poznaliśmy śpiewaka wybornej szkoły, z głosem sympatycznym, jasnym, umiającym szlachetnie wyzyskać i uwydatnić klejnoty natchnienia, jakie Gounod wlał w swoje dzieło. Szkoda, że w akcyi

niema tej dystynkcyi, która śpiew pana de Negri cechuje, a, niestety, przywykliśmy wymagać, by u śpiewaka operowego akcja stała na równi z interpretacją muzyczną, inaczej sprawdza się przysłowie francuzkie: *du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas*. Jakoby w przeciwieństwie pana de Negri, pan Miranda wypełniał dobrą grę i mimiką braki słabego głosu, o którym powiedzić można, iż dźwięczy tylko na średniej skali; pomimo transpozycyi niektórych ary, wyższemu rejestrowi bezwarunkowo nie dostawało pełności brzmienia, i tony były brane jakby z umyślnie nałożonym tłumikiem. Niewątpliwie dużo tu przeszkadza najniepodatniejsza do śpiewu wymowa francuzka, która często zmusza usta do wadliwego układu. Pani Dobiecka nie była poetyczną Małgorzatą; cenna ballada przy kołowrotku, przeszła bez znaczenia, zato kołowrotek umiejętnie funkcyonował. Arya przy klejnotach nasu-nęła nam również porównanie dla pani Dobieckiej niekorzystne, z tęsknotą bowiem wspominaliśmy, jak powiewnie uroczo śpiewała to Mariani. Pan Chodakowski jeden tylko dzielnie podtrzymywał honor naszej opery inteligentnym śpiewem i akcją szlachetną. Cóż powiedzieć o chórach, a szczególnie o batucie, która podała do Marsza w akcie czwartym tak szybkie tempo, że się wszystko zagmatwało w rytmie nierównym i błędnym?

Juljusz Stattler.

## Z KSIĄŻKI: „ŻYWE SŁOWA“

ZOFII PODLIPSKIEJ

Przełożył z czeskiego

MIRIAM.

### Widowisko niebieskie.

Kalendarz obwieszcza widowisko na scenie niebieskiej. Mimiczne ma to być przedstawienie. Role dobrze wystudyowane, z matematyczną ścisłością obliczone: grać ma księżyc, ziemia i słońce. To ostanie jednak tylko za kulisami działać będzie.

Prócz tego, obłoki i mgły będą niewątpliwie improwizowały ruchome dekoracje, balety czarodziejskie i satyryczne intermezza, ale tę część programatu trudno określić napewno, gdyż na końcu wymienione siły teatru niebieskiego stanowią zgrają bez żadnej dyscypliny, która nie ma pojęcia o sztuce klasycznej.

Kalendarz nie posiada władzy nad niemi. Ani on, ani nikt inny nie wie nigdy z góry, co poczyna, co robić będą?

Publiczność zgromadzi się na przedstawienie rzeczone na całej szerokiej i dalekiej powierzchni kuli ziemskiej.

Na dachach i w oknach, na wzgórzach i wśród otwartych równin zbierają się gromadki ciekawych, chciwych wiedzy i żądnych piękna obserwatorów. Niesfora zgrają obłoków, uznała na ten raz za stosowne wziąć istotnie udział w przedstawieniu i to wprowadzając niewidziane dotąd efekta. Trzy dni i trzy noce przygotowywały się do tego, odbywając wspaniałe próby.

Naprzód wykładały cały strop niebios konchą perłową i rzuciły blado-zielonawy odbłask dokoła widnokregu. Dal była napełniona modrawą mgłą, jakby wszystek pył, dający barwę owocom jesiennym, zebrał się na łagodnym stoku oddalonych wyniosłości. Słońce wyjrzało zza tych czarodziejskich zasłon, ubarwiając wszystko bladą jasnością i dając krainie świata coś świeżego, rajskiego. Niebo nie było całkiem zachmurzone, tylko lekko przesłonięte, a ubarwienie jego mieniło się co chwila, i zdawało się, że idzie o wynalezienie nowych, niewidzianych w przyrodzie barw i odcieni. Przed zachodem słońca koncha perłowa przechodziła w barwę złota, po

zachodzie stawała się znowu konchą perłową; nabrała blasku dziwnej słodyczy, zaświła się z miesięczną srebrną światłością i przejęła powie-rze, jakoby dźwiękiem harfy niebieskiej. Miesiąc wielki a jaśniejący płynął po firmamencie, a zwyciężwszy mgły, spoglądał ku ziemi obliczem jasnym, tak słodko każdemu znajomem. Można było rozróżnić każdy rys jego poważnej, wyrazistej twarzy. Tuż za nim wszakże nadpłynęły góry lekkich chmurków blado szarawych, i godzina, minuta jego zaćmienia przez cień ziemi zbliżała się. Dla tego to faktu zgromadzili się wszyscy widzowie. Każdy dech wstrzymywał. Jakaż-to będzie złośliwość, jeżeli ta figlarna a nieproszo-na banda obłoczków zasłoni długo oczekiwane widowisko! Już ciągną wprost ku księżycowi. Otoczyły, zasłoniły go. Ale on przeswituje przez ich lekką, przezroczą istotę, a one utworzyły jakby sztuczne przedzę pajęcze dokoła niego. Rozpostarły się w oświetleniu miesięcznym, utkały dokoła czarodziejskie ramy z arabesek i postaci blado jaśniejących. Rzuciły lekkie sieci aksamitnych cieni na powierzchnię miesiąca, które w chwilę potem ginęły, ale pomimo to widów niepokoiły i drażniły. Nagle wszakże obmyśliły inny plan swego tańca. Odsunęły się całkiem od księżyca i ustawiły się naokoło w obrębie światła jego prawidłowem kołem. W okamgnieniu zjawił się ciemny, okrągławy prążek na samym skraju miesiąca. Zdało się, jakgdyby miała nastąpić ostatnia kwadra. Wielkie widowisko niebieskie rozpoczęło się. Obłoki odstąpiły jeszcze dalej i zbiły się w geometryczne kształty dokoła księżyca, który został w pośród nich, gdy one przejawily się, jak w kalejdoskopie. Widok ich był tak piękny, że zasługiwały na poklask ziemian. Tymczasem prążek na księżycu rozszerzał się Posuwał się, jak skazówka na zegarze, Było to widowisko nieme, akcja postępowała z wolna, a przecieć serca głośno wszystkim były. Ten spokój tam na górze! Ta wielkość w obrazach małych na pierwszy rzut oka! Ta dal niezmierna, ten fakt niby tak prosty, ta świadomość, że wszyscyśmy w nim objęci! Ta perspektywa rozciągająca się ku granicom Wszczęświata!

Ze wzrastającym wzruszeniem widzimy, jak cień ziemi posuwa się po jaśniejącej tarczy księżyca. Oto już zaokrąglił się! Wizerunek to kuli. Cień nasz własny! Teraz pograża się w łonie miesiąca, jak wszystko co dokoła widzimy, w łonie naszych myśli się nurza. Ziemiol Droga, biedna ziemiol! A więc widzę cię całą tam w górze, objawioną w odbiciu twego cienia! Widzę cię przez chwilę tylko, zanim ty i księżyc dalej się posuniecie w obiegu swym nieustannym. Gdy człowiek widzi tak gniazdo swoje w obrazie oddalonym, czyliż nie zatapia się duch jego w nieskalaniem świetle wielkich duchów na tej, nawet myślą niezbadanej, drodze?

Gdy zaćmienie dosięgło szczytu, obłoki zsunęły się naraz, jak zasłona w sam czas spuszczonea.

Następnego wieczoru niebo było jasne, bez chmur, przezroczy, czysty eter. Księżyc wznosił się w niewysłowionym spokoju, lejąc jasne swe blaski. Oko piło czar tej nocy, a duch rozplą-wał się w piękności jej nieporównanej. Nad sni-ącym lasem unosiło się coś, jak odbłask bóstwa. Nagle zaćmienie! Cień. Nie wiem wszakże, czy to, co się nagle zjawiło i pręcej jeszcze bez śladu zniknęło, było rzeczywiście czemś, i co to było? Może było to tylko mgnienie oka? Ale nie. To nie było złudzenie wzroku. To nietoperz przeleciał koło okna, niespodzianem mignięciem zaćmił księżyc, a nie zaszleścił, nie było go słychać, nie okazał się kształtem, zdawał się mniej, niż cieniem, sprawił zaćmienie tak szybko przemijające, że to mgnienie z niezem nie da się porównać. Przemijające życie mojej tyś mniej niż ten cień nietoperza! Jasna, świetlana nocy! Z łona twej niemej piękności chwytam cień tego cienia i staram się uwiecznić go w pytaniu wszechludzkość ogarniającem!

## PO SKOŃCZONYM SEZONIE.

Kilka słów o Krynicy.

(Dokończenie).

Zakład ten, otwarty w roku ubiegłym, jeden tylko oddział posiadał, który w godzinach wyznaczonych służył zarówno dla mężczyzn i dla kobiet; obecnie, po przebudowaniu go na wiosnę, składa się z dwóch oddziałów: męskiego i żeńskiego, a nadto z pokojów ordynacyjnych i poczekalni wspólnej. Każdy znowu z oddziałów, mających osobne wejście, ma obszerną, jednopiętrową salę, zaopatrzoną w piece i wentylatory, a której środek zajmuje basen włożony cementem i napełniony przepływającą wodą, od 12—14° R. ogrzaną. Wzdłuż jednej ze ścian ciągną się szeregiem rozbieralnie i takich jest 46 w całym zakładzie; nawprost zaś nich, przy drugiej ścianie, urządzono o regulowanej temperaturze i ciśnieniu najrozmaitsze tusze: jak deszczowy-drobno, i grubo-kroplisty, boczny, wachlarzowy, szkocki, dający naprzemian zimne i ciepłe, odpowiednio co do stopnia temperatury skombinowane natryski, nasiadowy, w górę bijący, nożny i inne; nadto 4 szafki parowe i także dwa tusze zasila kocioł o ciśnieniu 3-ch atmosfer. Oprócz tego do każdej z sal przylegają tak zwane *kabiny*, czyli pokoje kąpielowe z różnego rodzaju wannami, mające także osobne rozbieralnie i sofę dla biorących kącie. Nadmienić tu należy, iż gabinet ordynującego lekarza zaopatrzone we wszelkie drobne przyrządy, jak irrygatory, tusze lokalne (np. oczne), chłodnik, zewnętrzne i wewnętrzne, przyrządy do masażu przyrząd elektryczny z prądem stałym i przerywanym, elektro-magnetyczny, mikroskop do analizy wydzielin, odczynniki chemiczne, oraz wagę z krzesłem najnowszej konstrukcji. Jak widzimy przeto, zakład wodoleczniczy krynicki, pomimo że dopiero liczy drugi rok swego istnienia, odrazu stanął na wysokości swego zadania i pod okiem dzielnego kierownika coraz szersze pozyskuje uznanie. Jakoż gdy w roku ubiegłym liczył 298 pacjentów, w roku bieżącym liczba ich do 500 urosła tak, że obecnie rozszerzony budynek, już się okazał za szczupłym. Oile też piszącemu wiadomo, dyrektor dóbr państwa po zwiedzeniu zakładu uznał rozszerzenie jego koniecznym, jak równie utworzenie stałej posady doktora asystenta, którego obowiązki czasowo spełniał p. Cercha.

Ujemną stroną zakładu stanowi brak ściślejszej łączności z pacjentami, którzy, mieszkając w domach prywatnych i stołując się w restauracjach, niezawsze się do udzielanej im ordynacji pod względem dyetetycznym stosują — słowem: brak tak zwanego pensjonatu. Otóż, czyniąc za dość tej potrzebie, dr. Ebers zamierzył w sąsiedztwie zakładu zbudować na akcye hotel kuracyjny, a którego plan, przez p. Zawieskiego już wykonany, mieliśmy sposobność oglądać. Będzie to prawdziwe piścidełko w swoim rodzaju; przynajmniej bowiem trzeba, iż młody i zdolny inżynier w swych architektonicznych pomysłach jest prawdziwym artystą. Dowody zaś tego złożył nie tylko w planie Domu Zdrojowego w Krynicy, ale i w projekcie pałacu sprawiedliwości we Lwowie, który rząd świeżo zatwierdził.

Otóż i projekt hotelu kuracyjnego odznacza się niepospolitemi zaletami. Będzie to drewniany, lekki, jedno-piętrowy budynek, o dwóch fasadach szczytowej i bocznej, w którym nader szczególnie umiano styl Odrodzenia w liniach ogólnych, połączyć z motywami czysto swojskiej architektury, pojętymi, jako szczegółowe ozdoby. Dotyczy to głównie balkonu, obiegającego po dłużną ścianę budynku, którego kolumny, zamiast głowic, zdobią się w kroksztyny nader misternego rysunku, jakie spotykamy w starych budowach na Szlaku austriackim i w wielu miejscowościach Galicji. Hotel ten, oprócz gabinetu kierującego zakładem, ma obejmować: restaura-

cyą, czytelnią, sale przeznaczone na tusze i wanny dla osób, któreby nie życzyły sobie odbywać kuracji w zakładzie, oraz 30 pokoi mieszkalnych. Koszt całej budowy, mającej prawdopodobnie stanąć w sąsiedztwie parku, za Zakładem, w stronie drogi do Tylicza wiodącej, ma wynosić około 40,000 guldenów.

Tak więc Krynicy przybędzie druga ozdoba i to w części, która ma największą przyszłość przed sobą. Niedawno bowiem odkryte tu i już przez zarząd zdrojowy zakupione źródło mineralne, oraz i miejsce otwarte, z pięknym, na leśniste góry widokiem, skłoni zapewne niejednego z przedsiębiorców do budowy nowych mieszkań w tej stronie.

Upiększeniem miejscowości i urządzeniem zabaw i wycieczek zajmuje się komitet towarzystwa przyjaciół Krynicy. Co do upiększenia zrobiono tu wiele, mianowicie: w parku na Michasiowej, w Słotwinie; co się tyczy wycieczek — do tych komitet mniej szczęśliwą ma rękę.

Również dodatnim objawem kąpielowego życia jest pismo „Krynica“, wychodzące co niedziela w ciągu sezonu, pod redakcją p. Bronisława Babla, w formie ćwiartki, objętości półtora arkusza. Oprócz tygodniowych sprawozdań z teatru, koncertów, zabaw, wycieczek i całego miejscowego ruchu, oraz listy osób na kuracyę przybyłych, pismo to wypełniają jeszcze wiadomości, odnoszące się do przeszłości Zakładu, oraz korespondencye ze Szczawnicy, Żegestowa, Rabki, Iwonicza, Truskawca, Zakopanego, Rymanowa i innych galicyjskich stacyi klimatycznych i zdrojowisk. Głucho w niem tylko o zdrowiskach i zakładach leczniczych w Królestwie a szkoda! gdyż Krynica, jako pismo specjalnie poświęcone miejscowościom kąpielowym, mogłoby z czasem stanowić nader cenny materiał do statystyki i historii tych zakładów.

Wina przecież co do tego nie spada na redaktora pisma, który, oile wiemy, starał się o zawiązanie stosunków z lekarzami ordynującymi w naszych zakładach, ale właśnie na tychże lekarzy, którzy widocznie nie czuli potrzeby powiadomiania jedynego organu zdrojowego, redagowanego w języku polskim, skoro nie mogli się zdobyć na przesłanie z początkiem sezonu choćby krótkich za rok ubiegły sprawozdań.

Kreśląc te wyrazy, bynajmniej nie chcemy powiedzieć, iż „Krynica“ jest pismem w zupełności odpowiadającym swemu zadaniu. Brak jej najistotniejszego działu, jakiego w piśmie zdrojowym mielibyśmy się prawo spodziewać. Mówimy tu o higienie i dyetetyce kąpielowej. Wprawdzie każdy z lekarzy zdrojowych daje swym pacjentom wskazówki, jak się mają przy picciu wód zachować; ale przy znacznej lekkoomyślności naszych kuracjuszków, udzielanie odpowiednich informacji co do używania wód miejscowych, pokarmów, oraz własności klimatu który pewnych ostrożności wymaga, nie byłoby wcale zbyt cennym. Takie wszakże artykuły, jeżeli mają mieć wartość praktyczną, powinny bezwarunkowo wychodzić spod pióra którego ze zdrojowych lekarzy. Dla zapewnienia też większej poczytności pismu należałoby się o lepszy felieton postarać. Opis bowiem podróży z Krynicy do Wenecji, mógł być interesującym chyba ze względu na osobistość redaktora, ale pod względem obrazowym i stylowym bynajmniej wytwornością nie grzeszył. Dobra powieść, wypełniająca pismo przez dwa pierwsze sezony, daleko-by mu więcej czytelników zjednała.

Ujemne te strony kąpielowego organu wywołały też na jednym z posiedzeń „Przyjaciół Krynicy“ myśl założenia nowego pisma, któreby, redagowane przez lekarzy, rzeczywiście odpowiadało celom kuracyjnym. Czy jednak myśl ta urzeczywistniona zostanie? wątpimy. Łatwiej bowiem przy dobrej woli i chętnem współpracownictwie podnieść pismo już istniejące, niżeli nowe zakładać. Pytanie zresztą: kto by pracę redakcyjną mógł podjąć, skoro każdy z miejscowych lekarzy, po całych dniach pacjentów przyjmuje? To też sądzimy, iż „Krynica“ nie ma się co współzawodniczyć obawiać.

Plagą w Krynicy są wyjazdy współlokatorów po ukończonym sezonie na pociąg ranny, wycho-

dzący o godzinie 6-ej z Muszyny. W takim bowiem razie wszyscy pozostający, czy chcą czy nie, muszą się budzić o 3-ej. O tej bowiem godzinie wali we drzwi mieszkania gościa mającego wyjechać jakiś *Fedko* lub *Gregor*, dając znać, że już z końmi stoi przed domem, poczem rozpoczynają się dopiero na kurrytarzu i w mieszkaniu, którego drzwi stoją otworem, rwetes nie do opisania. Wszyscy hałasują, stukają walizkami, butami, wydają bez względu na śpiących sąsiadów głośne rozkazy, a czasem i wymyślają służbie na czem świat stoi, — słowem: zachowują się, jakgdyby sami jedni byli w posiadaniu całego domu. Wprawdzie wszystko to kończy się z wybieciem godziny 4-ej, gdyż około tego czasu koniecznie wyruszyć trzeba z Krynicy, jeśli się chce stanąć na pociąg; ale każdy taki odjazd na cały dzień daje się uczuć pozostałym w swych skutkach: zwykle bowiem sprowadza ból głowy, znużenie i to niezadowolone wewnętrzne, wynikające z przekonania, że ktoś bezkarnie mógł zakłócić naszą spokojność. I gdyby to jeszcze podobne fakty trafiały się odosobnione! Ale proszę sobie wystawić, że na jednym kurrytarzu mieszka czasem lokatorów 10-ciu. Niech się tak złoży, iż każdemu z nich codziennie wypadnie wyjeżdżać kolejno, natenczas pozostałym takie hałasowania mogą na cały tydzień zepsuć porządek kuracyi.

Przecież, by doznać podobnie miłych wrażeń, nie koniecznie trzeba czekać na odjazd sąsiadów. Dostyć na to bału lub zwykłego nawet reunionu; wtedy możesz być pewnym, że nad ranem jakaś wracająca z niego rozbawiona drużyna obudzi cię głośną rozmową, śmiechem, stukaniem korków i trzaskaniem drzwi, które na prawdę stanowi charakterystyczną cechę polskiego towarzystwa. Rzadko bowiem żeby kto umiał drzwi przystwoicie zamykać: musi o wejściu do swego mieszkania głośną salwą powiadomić sąsiadów. Że zaś ten objaw złego wychowania jest niemal powszechny, to widać ztąd, iż w kilku porządniejszych willach czytaliśmy na kurrytarzach napisy: „Proszę drzwiami nie trzaskać.”

Z tych wycieczek jednak przeciw trzaskaniu drzwiami i późno wracającym do domu nie wynika, by piszący był zdeklarowanym nieprzyjacielem zabawy. Chcemy tylko poraz setny za innymi zaznaczyć, że gdy we wszystkich kąpielowych, europejskich zakładach reuniony nigdy nie przeciągają się dłużej, niż do godziny 12-ej, tak, że z jej uderzeniem muzyka granie przerywa i całe towarzystwo opuszcza salę zabawy; nasze zdrojowiska tymczasem mają ten nieszczęśliwy przywilej, iż każdy tańczący wieczór do dnia białego się przeciąga. Wynika to ztąd, że albo lekarze nasi nie mają dostatecznej powagi, by swoim *veto* położyć kres rochochoconej zabawie, albo też bynajmniej w skuteczność wód ordynowanych przez się nie wierzą i w przekonaniu, że te ani pomogą, ani zaszkodzą, pozwalają swym pacjentom tańczyć do upadłego. Że znaczna liczba kuracjuszek po to tylko przyjeżdża, by się bawić i produkować swe toalety i wdzięki, to każdemu wiadomo; jest przecież wielka liczba kąpielowych gości, którzy, prowadząc kuracyę poważnie, pozostają w domu i pragną w śnie znaleźć pokrzepienie i spoczynek. Otóż kwestya: kogo w tym razie należy mieć na względzie? — chyba nie może podlegać dyskusji.

Z tego jednak, cośmy powiedzieli, może kto myśleć, że Krynica istotnie bawiła się na zabój. Tymczasem tak nie było. Bawiono się o tyle, że jedni drugich mogli zakłócać spoczynek, ale zabawy ożywiły się dopiero pod koniec sezonu. Z początku jedyną rozrywkę stanowił teatr, w którym część trupy lwowskiej dawała przedstawienia cztery razy na tydzień. Dobór był dosyć urozmaicony, powodzenie za każdym przedstawieniem sztuki tendencyjnej wielkie, przy obsadzie sztuk zwykłych średnie, w każdym razie obok innych zalet należy przyznać reżysseryi, iż stosując się do regulaminu kąpielowego, nigdy nie przeciągała widowiska dłużej, niż do godziny jedenastej. Co do koncertów — tych wiele zapowiadały afisze; w rzeczywistości jednak nader mało przyszło do skutku. Zwykle w dniu oznaczonym artysta zapadał na zdrowiu i występ na dzień inny odkładał; poczem zniknął z widowni nikt

się o niego więcej nie troszczył. Z koncertów urządzanych na cele dobroczynne należy wymienić dany przez p. Jakowicką z udziałem p. Łazarowiczowej, który przyniósł 86 guld. dochodu netto, oraz chórówy akademicki pod kierunkiem p. Barabasa, w którym przyjęło udział około 30-tu uniwersyteckiej młodzieży, uczęszczającej na wydział medyczny w Krakowie. Zawiązawszy od niedawna zorganizowane towarzystwo śpiewaków, młodzież ta wyruszyła ze starego grodu, by poznać główne źródła krajoznawstwa, a obok tego zużytkować swe zdolności śpiewacze na korzyść banicy dotkniętych. Cel był szlachetny i w skutkach, jak się tego można było spodziewać, w zupełności dopełniony. Zebrano około 200 guld. Szkoła tylko, że do tego przyłączyły się niewczesne owacje, z jakimi witano i żegnano przybyłych. Było w tym coś *nieszadrowego*. Jeżeli bowiem młodzież, świeżo odebraną od uniwersyteckiej ławy i poraz pierwszy przykładającą rękę do obywatelskiego czynu, publicznie i tłumnie chcemy muzyką przyjmować, to cóż zostanie dla uczczenia ludzi, którzy pracą całego życia istotne względem społeczeństwa położyli zasługi? W trzy tygodnie później tak samo owacjami przyjmowano marszałka sejmu Zyblikiewicza. Cała różnica, że oprócz muzyki strzelano jeszcze z moździerzy, palono pochodnie i przybyłego zarzucono kwiatami. Rzecz jednak, pomimo zmienionej formy, w zasadzie pozostała tą samą i w umysłach trzeźwiej patrzących smutne pozostawiła wrażenie.

Co do zabaw tańczących, to, co prawda, tradycyjne réunions nie przychodziły jakoś do skutku. Natomiast udawały się bale, dawane na cele dobroczynne. Z urządzonych Pod barankiem najlepiej udało się na korzyść miejscowej straży ogniowej ochotniczej, która w d. 28 Lipca uroczyście w kaplicy poświęciła swój sztandar. Bal ten przyniósł 290 guld. czystego dochodu. Wreszcie bal urządzony na korzyść Teatru Poznańskiego w miejscowym teatrze krynickim, miał najświetniejsze powodzenie i tej instytucji przyniósł 1,000 marek dochodu. Nie możemy też pominąć loteryi fantowej, urządzonej w d. 4 Sierpnia przez księżnę Leonową Sapieżynę, ks. Czartoryską, ks. Celinę Radziwiłłównę, hr. Szembekową, Tarnowską, Konstantową Przeździecką, i inne panie z arystokratycznego kółka. Loteryja ta, urządzona na budowę kościoła w Krynicy, który ma zastąpić obecnie istniejącą maleńką kapliczkę i od r. 1883 ponawiana w każdy sezonie, powiększyła dotąd zebrany kapitał 20,000 guld. o 1,723 zlr.

R. Plenkwicz.

## Z DZIAŁU PRZYRODY.

### Z kroniki najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Poszukiwania archeologiczne p. Maspero w Luxorze.—Rozpawione mumie Szostrysa i Ramzesa III.—Nowy wróg winnic.—Begonia jadalna.—Nowa kopalnia rtęci.—Hyena jaskiniowa w grocie Gargas'a.—Zbadanie wielkich jezior Afryki równikowej.—Rezultaty wyprawy Révoila'pa do kraju Somali. Tornado sfotografowane.—Elektrochemiczne bielenie tkanin.—Oczyszczanie lignitem soku burakowego.

(Dokończenie).

Znany podróżnik Révoil przedstawiał niedawno Paryżkiemu Towarzystwu Geograficznemu, memoriał etnograficzny, będący rezultatem trzeciej przezeń odbytej podróży do kraju Somali.

Ziemia ta jest ostatecznym krańcem północno-wschodnim Afryki, kończącym się przylądkiem Guardafui i oblewanym od północy zatoką Aden, od wschodu zaś Oceanem Indyjskim. Jak i wszystkie pobrzeża Afryki, przetrzętą jest łańcuchem górskim, równoległym od brzegów, poza któremi ciągną się wyniosłe płaskowzgórza.

Kraj to ubogi, niewielkimi rzeczulkami porzeźnany, z lichą roślinnością, posiada wszelako ślady pradawnej cywilizacji upamiętnionej historią i legendami.

Zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że Somalczycy ród swój wywodzą od słynnych *Punów*, wyobrażanych na pomnikach egipskich. Grecy, Rzymianie, a ostatecznie Arabowie, pozostawili w tym kraju wulkanicznym ślady swej kultury.

Wszelako ci ostatni cywilizatorowie nie zmienili w niczem cech rasy pierwotnej, której broń, odzież i w części obyczaj przypominają potrosze starożytny Egipt, Greków i Rzymian. Jabarti-Ben-Ismail apostołował islamizm Somalczycykom w 75 roku Hedżry, (w 697 roku naszej ery). Legenda wieści, że miał czterech synów, których imiona *Dolbohot, Deszyszy, Medżurtyn, Uarsangeli*; byli oni praojcami czterech pokoleń dzisiejszych.

Wpływ islamizmu był słabym, nie pozostawił też po sobie żadnych wybitnych śladów; ani jedno miasto godne tej nazwy, nie wzniosło się na ruinach Mosglu ani Oppidum Gaza (dziś Bender-Gazen).

Szczątki wielu grobowisk, wykrytych przez Révoil'a w różnych miejscowościach, a nawet w łożysku Mogor, świadczą, że tu niegdyś żył lud liczny; dziś ludność Somali nie przechodzi trzydziestu tysięcy mieszkańców.

Z cywilizacji Arabów pozostało jedynie pismo i formuły Koranu; ztąd też wszelkie ważniejsze czynności w życiu Somalczyców rozpoczynają się od modłów do Mahometa, co nie przeszkodziło bynajmniej jego żarliwym wyznawcom wymordować eskortę barona von der Decken, otruc Kingelmana dowodzącego wyprawą naukową w 1867 roku, skraść Révoil'owi w 1878 roku całą jego kolekcję fotograficzną i złupić jego konwój w 1884 roku. Niewolnictwo z całym swym ohydny orszakiem gwałtu i znikczemnienia, wzmacnia tu cywilizacją muzułmańską, przejawia się ono wśród Somalczyców w barwach wstrętniejszych, że właściciel niewolnika jest często, równie, jak on, biednym i zgłodniałym.

Kobiety w Somali nie osłaniają swej twarzy, jak ich rówieśnice na Wschodzie, lecz, łagodząc przepis Koranu, zakrywają twarz ręką, pozostawiając dość miejsca między palcami, dla zado wolenia swej ciekawości. Niektóre z żarliwszych religiantek spluwają na widok chrześcijanina. Pomimo moralnego upadku uczucia szlachetne nie całkiem się zatary w tej dzikiej ludności. W tej mierze Révoil podaje fakt czerpnięty z jego własnych przygód; gdy bowiem jeden z naczelników zamierzył go zabić dla opanowania jego bagaży, Révoil wyrzucił mu publicznie hańbę takiego postępowania i nazwał nędznikiem i zdrajcą niedotrzymującym swych przyrzeczeń i tem śmiałym wystąpieniem ocalił swe życie.

P. Fay, astronom francuzki, zakomunikował Paryżkiej Akademii Nauk wiadomość o sfotografowaniu na morzu tornada w pewnej odległości od meteoru. Pierwszy to raz przyrząd fotograficzny otrzymał odbitkę huraganu atmosferycznego. Orkan szalał z szybkością 64 kilometrów na godzinę; fotografią jego nadesłał z Ameryki, tej krainy niewyczerpanych pomysłów, Langley astronom. Tornado ów sprawił straszliwe spustoszenia, wielu ludzi od niego śmierć poniosło. Pochód jego i ruchy okazały, że nie wciągał powietrza od dołu, lecz miótł je z chmur z piorunującą szybkością.

W przedziałach płótna w całym departamencie Północnym Francji wprowadzono w użycie proces bielenia tkanin metodą elektrochemiczną, pomysłu p. Hermiste'a.

Wynalazca ten pierwszą pracownię bielenia urządził w fabryce papieru. Przeprowadzał on prąd elektryczny do łożu papki papierowej z chlorkiem wapna lub chlorkiem magnezu; sole te wówczas pod wpływem elektryczności rozkładały się,

wytwarzając płyn, który posiadał w wysokim stopniu własność odbarwiania. Po zupełnym odbarwieniu włókno roślinne przywracało do pierwotnego stanu sole mogące posługiwać do nowej operacji.

Kleman z Schoeningen odkrył nowy sposób oczyszczania soku burakowego. Jest nim lignit, posiadający dotąd mało znane własności a między innymi władzę oczyszczania płynów. Mieszając lignit sproszkowany z płynem mętnym smaku nieprzyjemnego, dostrzegamy wkrótce twerczący się osad, a jednocześnie płyn odbarwia się i utracą woń przykrą. Cukier kolonialny czyli trzcinowy, równie, jak i sok burakowy, przy użyciu lignitu oczyszczane zostają doskonale.

Syrop cukrowy pozbywa się smaku burakowego; cukier otrzymany przedstawia czystą barwę białą.

Proces ten jest wielce ekonomicznym, wypadłoby jednak przekonać się: czy węgiel zwierzęcy nie byłby od lignitu korzystniejszym?

W. Niewiadomski.

## Kronika działalności kobiecej.

— Kiedy na przewrót wiekowej tradycji o obywatelskiem uczuciu kobiety naszej — kobieta najpierw wystąpiła w Poznańskim z ofiarą sprzedania Niemcom posiadanego kawałka ziemi ojczystej, kiedy potem druga kobieta zgodziła się na ten handel niepoczciwy, kobieta przecież złożyła gdzieindziej (w Galicyi) pierwszą ofiarę na cel utrzymania między rękach polskich. Po niej niezwłocznie druga szlachetna ręka niewieścia wyciągnęła się z datkiem znacznym. Pani ta, J. S., działając za pośrednictwem *Kurjera Poznańskiego* złożyła 2,000 zlr. z warunkiem nie ogłaszania jej nazwiska.

— Między obrazami, zakupionymi przez *Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych* dla rozlosowania ich następnie między członków Towarzystwa, znajdują się dwa pendzla kobiety: P. Dulębianki: „Zamysłona” i p. Bielińskiej bardzo ładna akwarella.

— Schronienie Nauczycielek, które, jak czytelnicy nasi wiedzą, przeniosło od dnia 1 Lipca bieżącego roku mieszkanie swoje na ulicę Kruczą N 7, czyni odpowiednie kroki, aby za złożeniem wymagalnej kaucyi: 7,500 rs. otrzymało prawo przysługujące zwykłym kantorom stręczeń w pośredniczeniu między szukającą nauczycielek publicznością, a osobami pragnącymi obowiązków nauczycielskich spełniać. Aż dotąd Schronienie Nauczycielek mogło tylko zgłaszające się w tym celu nauczycielki umieszczać w domach członków Schronienia (Stałych, płacących rocznie rs. 15; wspierających płacących rs. 5).

Zyskana koncessya rozszerzyłaby zakres działalności Schronienia na całą publiczność naszego kraju. Pożądaną jest rzecz, tak dla nauczycielek, jak i publiczności, aby czynność Schronienia nie była pod tym względem ograniczoną, bo jest niewątpliwie pożyteczną, i rzeczywicie dobroczynną stać-by się mogła, mając sobie otwartem pole szerszego działania. Oprócz swego głównego celu zapewnienia spokojnego, wygodnego przytulku dla sędziwych, lub spracowanych nauczycielek, które albo są stałymi członkami stowarzyszenia, albo złożą na jego rzecz 100) rs. jednorazowego wkładu, dom Schronienia przedstawia dla nauczycielek, przybywających do Warszawy na pobyt czasowy, jakgdyby port dobry, bo za pół rubla dziennie znajdują tam przyzwoite i pewne pomieszczenie, stół bardzo dobry, pranie, w razie zaśląbnienia bezpłatną pomoc lekarską i lekarstwa (Dr Anna z Tomaszewiczów Dobrą jest stałym i zupełnie bezinteresownym lekarzem zakładu), a wreszcie

opiekę pewną i niepodważaną, co znaczy niemało, co znaczy bardzo wiele, zwłaszcza dla nauczycielek młodych, mniej obeznanych z trudnościami życia w mieście, często nie dość im znaniem. Ze Schronienia potrzebuje pewnych rękami co do przeszłości zgłaszających się osób, jest rzeczą naturalną, konieczną, która podnosić tylko może w oczach dążących tam osób wartość pomieszczenia, które otrzymać mogą tylko na podstawie okazanych i wiarygodnych świadectw pracy w swoim zawodzie, co dla cudzoziemek zamienia się na świadectwo konsula. Przybywającej trzeba zarazem złożyć w kassie zakładowej rs. 15, z których opłacają się koszta jej pobytu w zakładzie. Reszta niewyczerpanych pieniędzy zostaje jej natychmiast z chwilą porzucenia Zakładu oddaną.

Ze nauczycielki czują wszystkie korzyści pomieszczenia się w zakładzie Schronienia, dowodem jest, że miejsca przeznaczone na pobyt mieszkanek czasowych, nigdy próżno nie stoją, lecz przeciwnie zdarza się nieraz, że następuje przeładnienie, gdy przecież nie odpychają tu nigdy tej, która opieki Schronienia żąda, a przedstawia co do osoby swojej gwarancje potrzebne, bywa nieraz, że pokój jadalny i salonik, przeznaczony na wspólny użytek mieszkanek Schronienia zajęte zostają, choć obecne pomieszczenie zakładu jest o wiele obszerniejszem, niż poprzednie przy ulicy Hożej. Obejmuje ono całą posiadłość, składającą się w swej części mieszkalnej z kamienicy o piętrze i oficyny parterowej. Zastano kilkanaście pokoi; obecnie przeciw liczba ta się powiększyła, gdyż ze względu na wygodę mieszkanek przeforsztowane niektóre większe pokoje. Jest też rzeczą bardzo ważną dla stałych i zwykle niemłodych już mieszkanek zakładu że zabudowania wyżej wymienione położone są wśród owocowego ogrodu, więc powietrze jest dobre i miejsce wygodnej przechadzki o każdym czasie zapewnione. Znany jest naszym czytelnikom regulamin zakładu: wspólna, niedługa modlitwa rano; wspólne spożycie śniadania, obiadu, podwieczorku i kollacji, jednak dla przebywających poza domem dla interesów jedzenie zostaje schowane. Zamykają się drzwi domu o 9-jej godz. wieczorem i jest wymaganiem, aby każda z mieszkanek stałych czy czasowych już o te czasy znajdowała się w domu. Przecież wyjątkowo uwzględnia się przedłużony pobyt za domem, gdy która z mieszkanek jest gdzieś w gościnie, lub w teatrze, na koncercie. Przełożoną zakładu jest zawsze zacna p. Helwich, sama niegdyś nauczycielka i najgłówniejsza, najczynniejsza promotorka w założeniu Schronienia, za co zapewne niejedna samotna, w ciężkim zawodzie nauczycielskim pracująca kobieta powie jej gorąco: — Bóg zapłać!

— Wystawa higieniczna mająca się odbyć w Warszawie w Marcu lub Kwietniu roku przyszłego, obejmuje wiele działów łączących się ściśle z pracą kobiety: matki rodziny, nauczycielki, gospodyni. Programat jej obejmuje grup pięć: higienę żywienia, higienę odzieży, higienę mieszkań, higienę specjalną z podziałem na higienę szkół, warsztatów i szpitali, oraz statystykę i meteorologię.

Grupa I. Higiena żywienia fizjologia i chemia żywienia. 1) Składniki chemiczne ciała ludzkiego i pokarmów przedstawione w naturze, Diagramy, tablice i tym podobne przedmioty odnoszące się do warunków normalnego żywienia. 2) Ciekawe okazy zwierząt i roślin, używanych jako pokarmy; rysunki, modele, istoty w naturze. 3) Produkta spożywcze: próbki zboża, mąki, masła, sera, miodu i tym podobne przedmioty. 4) Mleczarnie i wogóle gospodarstwo spożywcze. 5) Przyrządzanie pokarmów;

okazy wypieku i sztuki kucharskiej; narzędzia i naczynia kuchenne; kuchnie tanie. 6) Woda i jej oczyszczanie, filtry pokojowe; herbata, kawa, czekolada, kakao, kumys, kefir, napoje alkoholiczne. 7) Konserwowanie pokarmów; pokarmy sztuczne, mączki dziecinne, ekstrakty i t. d. 8) Sposoby badania pokarmów i rozpoznawanie sfałszowań, rozpoznawanie roślin trujących. 9) Porcyce dla uczniów, dla robotników, więźniów i t. d. Literatura przedmiotu.

Grupa II. Higiena odzieży. 10) Warunki zdrowotne różnych materyałów i barw odzieży. Bielizna i odzież zwierzchnia, obuwie. Specjalne odmiany odzieży. Odzież nieprzemakalna; kostiumy dawne i nowe, szkodliwe artykuły odzieży i obuwia. Gorsety, szyniony, krynoliny, korki.

Grupa III. Higiena mieszkań. Zachowanie czystości ciała i otoczenia. 11) Plany i rysunki domów, oraz wzory urządzenia mieszkań w naturze. Plany i rysunki miast. 12) Hygieniczne materyały budowlane, nieprzemakalne podłogi, tynki, które dają się zmywać, wernixy, marmury, obicia i t. d. 13) Zaopatrzenie mieszkań i miast w wodę, wodociągi i filtry miejskie. Kąpiele publiczne i domowe, wanny, umywalnie. 14) Wydalanie odpadków i nieczystości; kanalizacja i drenowanie. Zlewy. Dezynfekcja. Torfy. 15) Opalanie mieszkań, ogrzewanie, opalanie centralne, piece, kominki; przewietrzanie mieszkań; wentylatory, warunki wentylacji w salach i budynkach publicznych. 16) Oświetlenie mieszkań. Fotometrya, oświetlenie naftowe, gazowe i tym podobne. Światło elektryczne żarowe i łukowe. Brenery, lampy, świece i t. d. 17) Zapobieganie pożarom i innym nieszczęśliwym wypadkom w mieszkaniach i miastach. 18) Pielęgnowanie skóry. Ilustracje chorób z zaniedbania czystości wynikłych. Mydła, kosmetyki. 19) Grzybki chorobotwórcze. Literatura odnosząca się do grup III.

Grupa IV. Higiena specjalna. 20) Szkoły. Budynki szkolne, urządzenie żłobków, ochron, szkół elementarnych i średnich, ławki szkolne, tablice i inne sprzęty naukowe, przyrządy gimnastyczne. Regulaminy sanitarne szkół. Rysunki, diagramy i t. d. 21) Warsztaty i fabryki. Zapobieganie szkodliwościom, połączonym z rozmaitemi rzemiosłami i gałęziami przemysłu. Wentylacja fabryk. Maski dla robotników; respiratory, odzież specjalna; roztwory rozmaite, jako odtrutki. Regulaminy sanitarne w fabrykach. 22) Szpitale. Plany i rysunki. Urządzenie wewnętrzne. Porcyce chorych. Lektyki, karetki i wagony sanitarne. Ratownictwo. Apteczki wiejskie. Zdrojowiska i miejscowości leczniczo-klimatyczne. Literatura odnosząca się do grupy IV.

Grupa V. Statystyka i meteorologia. 23) Statystyka ruchu ludności. Śmiertelność, choroby panujące. 24) Sposoby wykonywania sprostżeń meteorologicznych. Warunki klimatyczne miejscowości. Analiza powietrza.

— W Alzacji, w Saarbrücken zmarła w 69 roku życia, wysoce zacna i bohaterkich uczuć kobieta, Katarzyna Weisgerber, a dziwnym zrzędzeniem losu zgon jej przypadł na rocznicę jej najszlachetniejszego czynu, a razem najboleśniejszych jej życia wzruszeń, d. 6 Sierpnia, to jest w rocznicę nieszczęśliwej dla Francji walki pod Spahe-ren, w której ona brała udział, ratując na polu bitwy rannych, podając im wśród okrutnego upału wodę, zwilżając nią usta konających. Bohaterka ta urodziła się wiejską dziewczką, poszła do służby mając rok siedemnasty, służyła wiernie u jednej i tej samej rodziny lat kilkanaście bez przerwy, gdy nieszczęście uderzyło w dom jej pracodawców, ona — tracąca wśród tej klęski cały zarobek oszczędzonego grosza — nie odstąpiła mimo to dzieci osieroconych, lecz pracując jako

najemnica do posług różnych, zarabiała na nie. Skoro wojna między Francją a Niemcami wydała Alzacyą na łup tych ostatnich, ona z wiernej i miłosiernej stała się naraz bohaterką. W pobliżu niej była bitwa (pod Spichern) Francuzi przegrywali, i z powodu nieszczęśliwej pozycji padali tysiącami, a wieści okrutne przybywały do Saarbrücken między przerażoną ludność. Kobiety modliły się, otoczywszy krzyż, słońce piekło straszliwie, gdy ona pomyślała nagle, jak muszą upadać ze znużenia walczący, jak muszą cierpieć ranni, leżący na pobojowisku z rozdartem od kuli ciałem, i odważna, z wiadrem wody świeżej na głowie, pośpieszyła na pole bitwy, przedarła się przez linię wojenną i mieszając się w wir walki, podawała wciąż wodę żołnierzom francuzkim. Padano w koło niej, przed nią i za nią, jej szczęśliwie nie imaly się kule i schylała się ku ran-nym, ku umierającym, a teraz za nią był już poczet kobiet, które jej przykład porwał za sobą. Kobiety te pod jej przewodnictwem unosiły na rękach rannych po za pole walki, a gdy ustała, nie opuściły do nocy ciemnej krwią przesiąkniętego pola, na którym spełniono jeden jeszcze więcej czyn heroizmu: podawano także wodę i ustom Niemców! Cesarz Wilhelm obdarzyć kazał Katarzynę Weisgerber zaraz po bitwie krzyżem zasługi, potem przyznano jej medal wybity na pamiątkę wojny 1870 : 71 r., ale ona nie nosiła nigdy tych oznak udzielonych jej zaszczytów! Jakie wzruszenie! pracowały w jej biednej piersi starej, jakie wspomnienie i obrazy przedstawiały jej się w rocznicę dnia pamiętnego, gdy w cieniach nocy z dnia 5 na 6 Sierpnia bieżącego roku zamknęła oczy, nie mając przy sobie nikogo, nikogo nie zbudziwszy westchnieniem swem ostatniem. Znaleźli ją rano już zimną. Niemcy nie dali jej jeszcze spokoju po śmierci — oddano jej przy grzebaniu zwłok honory wojskowe!

Na ręce D-ra Fritschego złożyli w dalszym ciągu na rzecz „kolonii letnich dla biednych słabowitych dzieci” ofiary: 95) Senator Borzęcki rs. 15. 96) Alexander Temler rs. 25. 97) Pr. W. U. rs. 5. 98) Michał i Michalina S. w rocznicę szczęśliwie dokonanej operacji na ich dziecku rs. 25. 99) S. Eisenman rs. 10. 100) L. Kornfeld rs. 10. 101) Maxymilian Jelinek rs. 10. 102) Jakóbowa Janaszowa rs. 50. 103) A. G. rs. 3. 104) Baronowa Zachertowa rs. 25. 105) Bolesław z Kurska rs. 3. 106) S. M. za pośr. Dziennika dla Wszystkich rs. 2. 107) Cecylia Zawadzka rs. 1. 108) Karolina Zielińska rs. 1. 109) Alexandra Braun rs. 5. 110) Julcia i Felunia rs. 1. 111) Michalina Kucharzewska rs. 5. 112) Antolka kop. 50. 113) O. Seydel rs. 1. 114) Marya Tatarkiewicz rs. 5. 115) Kazimiera Zielińska rs. 1. 116) Malczewska rs. 1. 117) Julia Troetzer rs. 1. 118) N. N. rs. 6. 119) J. F. rs. 1. 120) Wanda Marczewska rs. 5. 121) Ad. Am. Kosiński rs. 1. 122) A. G. rs. 5. 123) Dr. Moźdzynski ze Skalbierza rs. 3. 124) Z Redakcyi Wieczorów Rodziny rs. 107 kop. 22. 125) Dyr. Kozmiński rs. 5. 126) Piotr Sokółski rs. 3. 127) Stefan Spiess rs. 25. 128) Prof. Kłopotowski z Charkowa rs. 1 kop. 20. Razem z poprzednio złożonemi rs. 3,126 k. 92.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 2-gi powieści pod tytułem: *Jaskółka*, przez Remigiusza Gourmont.

**TREŚĆ.** Siwe włosy, poezja, przez L. Kozłowskiego. — Ciężkie czasy, II, (dokończenie), przez M. Hnicką. — Gasnąca dusza, powieść, (dalszy ciąg) przez M. Gawalewicza. — Ruch muzyczny, przez Jul. Stattlera. — Z książki „Żywe słowo”, przekład z czeskiego Miriama. — Po skończonym sezonie, (dokończenie), przez R. Pleniewiczza. — Z działu przyrody, (dokończenie), przez W. Niewiadomskiego. — Kronika działalności kobiecej. **Dodatek obejmuje:** Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: *Jaskółka*, przez Remigiusza de Gourmont. — 26 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — *Sekreta gospodarskie*. — *Dyspozyczya stołu*.